

Perce Bonnie Sawajg.

2 Biblioteczka Pisarzy i Klasyków Żydowskich 2

Cena 50 gr.

I. L. PEREC

Boncie Szwajg

Tłumaczył z żydowskiego M. Drzewiecki

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAŃ

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 74

Tel. 26-68-63



WARSZAWA 1925.

WYDAWNICTWO, „ORIENT“

UL. OGRODOWA Nr. 27, m. 54.

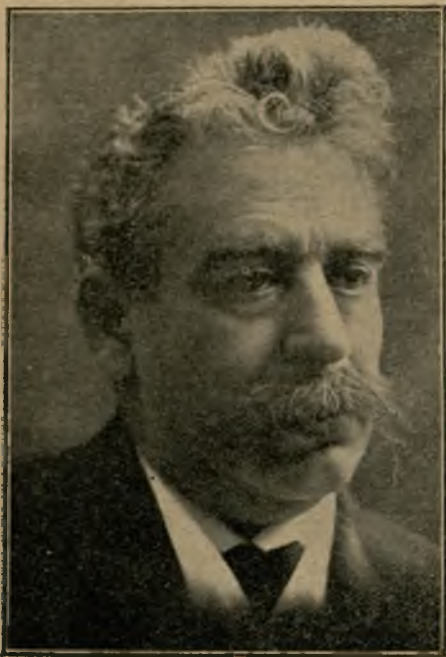
<http://rcin.org.pl>



22.401

Druk. „Estetyczna“ Warszawa, Dzielna 9, tel. 97-21

<http://rcin.org.pl>



I. L. PEREC

BONCIE SZWAJG

Tu, na ziemi, śmierć Boncie Szwajg minęła bez najmniejszego wrażenia. Daremniebyś pytał: kim był Boncie, jak spędził życie, jaką śmiercią zmarł! Czy pękło mu serce, czy siły go opuściły, czy też kręgosłup jego załamał się pod zbyt dużym ciężarem... Któż zgadnie? Może zmarł śmiercią głodową?!

Gdyby koń padł w zaprzęgu, więcejby nań zwrócono uwagi, dzienniki rozpisywałyby się obszernie, tłumy ludzi zbiegłyby się na widowisko, aby oglądać ofiarę, przypatrywano się nawet miejscu katastrofy...

Cicho snuł Boncie przedzę swego żywota i w ciszy dokonał swych dni. Jak cień milczący przesunął przez życie!

Urodzin jego nie obchodzono uroczyście, nie dźwięczały kielichy, napełnione winem po brzegi; w dniu confirmacji nie wygłosił Boncie żadnego przemówienia...

Żył jak szara, drobna grudka piasku na brzegu morza pośród miliona podobnych jemu. Nikt nie spostrzegłby jego nieobecności, gdyby,

gnany podmuchem wiatru, przeniósł się na przeciwległy brzeg.

Za życia — nie pozostał po nim nawet ślad jego stopy, odcisniętej na błocie. Po śmierci — wiatr wywrócił małą deszczułkę nadgrobną — żona grabarza znalazła ją daleko od grobu i zgotowała przy jej płomieniu garnek kartofli... Zaledwie trzy dni 'minęły od śmierci Bonciego, a próznobyś pytał grabarza, gdzie go pochował!

Cień! Obraz jego zatarł się w ludzkiej pamięci, w niczyje nie wrył 'się serce; ślad po nim zaginął.

„Nie zostawił potomstwa, ni dobytku“. Samotnie snuł przedzę swego żywota — samotny zmarł.

Gdyby na chwilę ścichł ludzki gwar, usłyszaliby chrzęst jego kręgosłupa, uginającego się pod brzemieniem życia. Gdyby ludzie mieli więcej czasu, spostrzegliby może dwie zagasłe źrenice, głęboko - zapadłe policzki Bonciego. Nawet wówczas, gdy ciężar nie przygniatał jego grzbietu, głowę miał pochyloną ku ziemi, jakgdyby jeszcze za życia szukał miejsca swego wiecznego spoczynku. Gdyby ludzie byli tak nieliczni, jak konie pociągowe, może zadanoby niekiedy pytanie: Gdzie Boncie? Co się z nim stało?

Gdy przywieziono, go chorego do szpitala, kącik jego w suterynie nie pozostał długo próż-

ny — czekało nań dziesięciu podobnych jemu nędzarzy, którzy wylosowali go pomiędzy sobą; kiedy zmarłego przewieziono z łóżka szpitalnego do trupiarni, dwudziestu chorych biedaków czekało na nie z niecierpliwością... Gdy wyprowadzono go z trupiarni — miejsce jego zajęło dwadzieścia ofiar, wydobytych z pod gruzów zawalonego domu. Któż wie, jak długo zazna spokoju w grobie? ilu już czeka na ten skrawek ziemi...

Cicho Boncie przybył na świat, w ciszy snuł przędzę szarego żywota i zmarł, przeszedłszy przez życie jak cień...

Zupełnie inaczej działo się na tamtym świecie. Śmierć Bonciego wywołała potężne wrażenie!

Olbrzymi róg z czasów Mesjasza rozbrzmiewał donośnym echem po niebie: Boncie Szwajg, opuścił siedzibę śmiertelnych! Archaniołowie przecinali potężnymi skrzydłami sfery niebiańskie, podawając jeden drugiemu nowinę: „Boncie wrócił na łono Przedwiecznego“! W raju rozbrzmiewa radosny gwar, pomieszany z głosami: „Droga dla Boncie Szwajg!! Pomyśleć tylko, Boncie Szwajg!!

Małe aniołki o jasnych oczach, błyszczących jak zorza poranna, złotem przetykanych skrzydełkach i srebrnych pantofelkach wybiegły naprzeciw Bonciego z hymnem radosnym

na ustach. Trzepotanie skrzydełek, odgłos pantofelków i dźwięczny śmiech cudnych, drżących świeżością aniołków przepelniał niebiosa, aż dosięgnął Tronu Najwyższego, oznajmiając Bogu przybycie Boncie Szwajg!

Patryarcha Abraham stanął u wrót niebios, wyciągnął ku Bonciemu prawicę, a błogi uśmiech zajaśniał na jego obliczu.

Lecz skąd ten turkot po niebie?

Oto dwaj aniołowie toczą szczerozłoty tron dla Bonciego.

Cóż to nagle zabłysło?

To na cześć Bonciego niosą złotą koronę, wysadzaną drogiemi kamieniami.

— Czyżby przed wyrokiem Sądu Ostatecznego? pytają cadykowie zdziwieni i nie bez zazdrości.

— Gdzież tam! odpowiadają aniołowie, będzie to tylko pusta, czcza formalność. Przeciw Bonciemu nawet oskarżyciel niebiański nie ośmieli się ust otworzyć!

„Sprawa“ potrwa zaledwie pięć minut.

— Czyż nie wiecie, kto jest Boncie Szwajg?

A Boncie, jak ongiś na ziemi. stał oszołomiony i oniemiały ze strachu. Czuł, że aniołowie unoszą go w górę i śpiewają jemu hymny pochwalne; że patryarcha Abraham ściska przy-

jaźnie jego prawicę. Jak przez sen słyszał, że czeka go w raju miejsce poczesne, a głowę jego ozdobi korona. Serce w nim zamarło! Nie był pewien, czy to sen, czy też zwykła pomyłka.

Wprawdzie przywykł za życia do takich pomyłek. Nieraz śniły mu się wielkie, nieprzebrane skarby... Nazajutrz budził się bardziej przygnębiony i świadom straszliwy swej nędzy... Niejednokrotnie uśmiechano się do niego przez pomyłkę, darzono go dobrem słowem, by za chwilę usunąć się ze wstrętem...

— Taki mój los — myślał z goryczą.

Boncie miał oczy spuszczone wciąż ku ziemi, w obawie, by sen się nie rozwiął, by nie obudził się w jaskini, w otoczeniu jadowitych węzów. Stał nieporuszony, niemy i milczący, w strachu, by go nie poznano i strącono w otchłań...

Jak przez mgłę widział postacie aniołów, tańczących wokół niego i prawiących komplementy. Nie odpowiedział na szczere powitanie patriarchy Abrahama, a wprowadzony przed oblicze Sądu Ostatecznego, nawet go nie pozdrowił...

Oniemiał ze strachu!

Lęk jego wzrósł jeszcze bardziej, gdy spojrział na posadzkę alabastrową, wysadzaną drogiemi kamieniami. „Nogi moje nie godne stąpać po takiej posadzce!“ Stał oszołomiony, a kolana uginały się pod nim.

— Za kogo mnie biorą — myślał z przerażeniem. Pewno oczekują jakiegoś wielmożę, rabina lub cadyka... Skoro spostrzegą — sroższy spotka mnie los!

Zdjęty strachem, nie słyszał, jak prezes, podając obrońcy akta, głośno obwieścił: „Sprawa Boncie Sz wajg“.

Wszystko wokół Bonciego kręci się i wiruje, a w uszach mu szumi. Jak przez sen dochodzą go słowa obrońcy, słodkie i cudne, jak tęskny śpiew skrzypiec:

— Imię jego tak dokładnie odpowiadało jego wewnętrznej jaźni, jak artystycznie uszyta suknia — wysmukłej, kobiecej postaci.

— Co on mówi? — dziwi się Boncie, gdy nagle niecierpliwy głos prezesa przerywa mowę obrońcy:

— Bez porównań

— Nigdy nie skarżył się przed nikim, ciągnął dalej obrońca, ani przed Bogiem, ani przed ludźmi; oko jego nigdy nie zabłysło iskrą nienawiści, a skargi jego nie zakłóciły nigdy spokoju niebios.

Boncie wciąż nie rozumie, gdy nagle rozlega się twardy głos prezesa:

-- Bez retoryki!

— Hijob uległ w końcu swym cierpieniom. On był stokroć nieszczęśliwszym...

— Proszę nie zbacać z tematu! — woła niecierpliwie prezes.

— On wciąż milczał i znosił katusze, ciągnął dalej obrońca, gdy odumarła go matka i miejsce jej zajęła okrutna macocha — wąż, sekutnica...

— Wszak o mnie mowa? myśli Boncie.

— Bez insynuacji na trzecią osobę, gniewał się prezes.

— Skąpiła mu każdego kęsa... karmiła go starym, spleśniałym chlebem — gdy sama piła kawę ze śmietaną.

— Do rzeczy! woła prezes.

— Nie szczędziła mu zato szturchańców i ostrza swych paznogi, a ciało jego pokryte sińcami, często krwią brocząca, wyglądało poprzez dziurawą odzież... Zimą, w największy mróz, wybiegał boso na podwórze, aby dla swej macochy rąbać drwa; ręce mdlały mu z wycieńczenia, szczapy były grube, a siekiera tępą... Niejednokrotnie zwichnął sobie rękę, odmrażał palce nóg, milcząc uparcie, nawet przed ojcem...

— Przed tym pijakiem! wtrącił złośliwie prokurator, a Boncie czuje, że krew ścina mu się w żyłach.

...nie zanosił skargi, kończy obrońca przerwane zdanie.

-- Wiecznie samotny, ciągnął dalej, bez przyjaciół — pozbawiony wszelkiej opieki szkolnej... Zawsze w dziurawym ubraniu... Bez chwili wytchnienia.

— Do rzeczy — przerywa mu prezes.

Milczał nawet, gdy ojciec w stanie nietrzeźwym porwał go za włosy i w mroźną noc zimową wypędził z domu. Cicho, bez skargi podniósł się z ziemi i powłókł w świat... Po drodze wciąż milczał; gdy głód mu zanadto dokuczył prosił oczyma o jałmużnę.

W parną noc wiosenną przywędrował do miasta. Był jak kropla wody w morzu. Pierwszą noc spędził w areszcie... Milczał, nie pytał, za co, po co? Gdy wyszedł na wolność, udał się na poszukiwanie roboty, zwykłą najcięższą, wykonując ją w milczeniu.

Cięższym niż praca był trud znalezienia jej — on wciąż milczał!

Milczał — obłany zimnym potem, zgięty pod ciężkiem brzemieniem swego losu, czując, że żołądek kurczy się od głodu.

Milczał — obryzgany błotem, wystawiony na szydercze urągania przechodniów, spędzających go z największym ciężarem na plecach na jezdnię, między dorożki, automobile i tramwaje, gdzie na każdym kroku śmierć nań czyhała.

Boncie nigdy nie zastanawiał się, ile pudów ciężaru przypada na jeden grosz jego zarobku, ile należało znieść upokorzenia, aby ujrzeć złamany szeląg; nie porównywał nigdy swego losu z losem innych, a jeno wiecznie milczał!

Nie domagał się głośno swojej należności. Stał cichy, skulony na progu, a w oczach jego malowała się psia pokora. Często zbywano go półsłówkiem, a on jak cień odchodził, by na-
zajutrz z tem większą pokorą wyżebrać swą
własnym trudem zdobytą krwawicę!

Milczał, gdy utracono mu część zarobku
lub podsuwano fałszywą monetę...

Życie jego było nieustannem pasmem mil-
czenia...

— Wszak o mnie mowa!—pociesza się
Boncie.

I oto, ciągnął dalej obrońca, w życiu jego
nastąpiła wielka zmiana... Niby huragan prze-
biegła przez ulice kareta, zaprzężona w rozhu-
kane konie... Woźnica dawno już tarzał się po
bruku z roztrzaskaną czaszką... Z otwartych
pysków końskich buchała gęsto para, z pod
podków sypały się skry, oczy ich błyszcząły,
jak płonące pochodnie w noc zimową — a w ka-
recie człowiek o trupo - bladej twarzy!

Boncie zatrzymał konie w największym
pędzie.

Ten, kogo Boncie wydarł ze szponów
śmierci, był Żydem dobroczynnym i nie zapomi-
niał o dobrodziejstwie, wyświadczonem przez
Bonciego.

Boncie został woźnicą. A milczał bezustannie.

— To o mnie mówią—upewnia siebie Boncie, nie mając jednakże odwagi podnieść oczu na Wysoki Trybunał...

Uszu jego dobiegają dalsze słowa obrońcy:

— Milczał, gdy [dobrodziej jego wkrótce zbankrutował, nie zapłaciwszy mu pensji...

— Milczał nawet wtedy, gdy żona go opuściła, zostawiając dziecko-niemowlę...

Milczał w piętnaście lat później, gdy dziecko jego podrosło i miało dość sił, by wypędzić ojca z własnego mieszkania.

— O mnie mowa! pociesza się Boncie.

Milczał — ciągnął obrońca, a w głosie jego przebijała nuta rzewności i smutku — gdy dobrodziej jego uregulował wszystkie swe długi, a jeno o nim zapomniał... Nawet wówczas, gdy ta sama karetka, zaprzężona w ogniste rumaki, przejechała go.

Milczał! Nie opowiedział nawet policji, kto był sprawcą jego nieszczęścia...

Milczał w szpitalu, gdzie wolno wszak krzyć dowoli! Milczał w agonji — milczał, gdy wydawał ostatnie swe tchnienie...

Nie skarżył się przed Bogiem, ni przed ludźmi!

— Dixi!

Boncie zaczyna drżeć na ciele. Wie, że po obrońcy, kolej przychodzi na oskarżyciela. Któż odgadnie jego myśli? Boncie słabo pamiętał dzieje swego żywota. Dzięki obrońcy wszystko jak żywe stanęło mu przed oczyma. Któż przejrzy zamiary oskarżyciela?

— Wysoki Trybunale!—rozpoczyna prokurator swe przemówienie ostrym, szorstkim głosem — przerywa jednak natychmiast.

— Sędziowie, rozpoczyna nanowo, a głos jego staje się przedziwnie miękki. Nagle — coś się w nim załamało, a z gardła jego wydobywa się ciche, stłumione łkanie:

— Prześwietny Trybunale! On milczał — i ja więc zamilknę!

Wszystko w sali na chwilę zamarło — a z trybuny sędziowskiej dochodzi doń pieszczotliwy, drżący głos:

— Boncie, dziecię moje ukochane! głos łkał, jak struny harfy... Dziecię moje nieszczęśliwe!

Coś drgnęło w sercu Bonciego... Teraz odważyłby się podnieść oczy, ale są one zasłonięte mgłą łez... Ogarnęła go błogość przedziwna... Nowy świat uczuć objawił się przed nim... „Dziecię me“, „mój Boncie“ — od dnia śmierci matki, nikt nie przemawiał tak czule do niego.

— Dziecię moje! ciągnął dalej prezes Trybunału — tyś wszystko znosił, a jednak milczałeś! Niema na twojem ciele ani jednej całej kości, ani jednego miejsca, które nie byłoby po-

kryte bliznami, serce twoje wiecznie krwią broczyło... a tyś wciąż milczał...

Tam, na ziemi nie poznano się na tem! Tyś sam może nie był świadom prawa swego do życia. Nie zdawałeś sobie sprawy, jakie moce ukryte są w twojej piersi... że jeden twój okrzyk zdolny byłby zwalić potężne mury Jerichonu!

Na ziemi, owym nędznym padole obłudy, nie oceniono należycie twego milczenia, tu w świecie Wiekuistej Prawdy otrzymasz należną nagrodę.

A oto stajesz przed Sądem Najwyższym, nie jako oskarżony, ale jako równy sędziom! Rozglądaj się wokół siebie, bierz czego dusza zapagnie! Wszystko należy do Ciebie!

Dopiero teraz podnosi Boncie swój wzrok. Oczy jego olśniewa cudny blask! Ściany, przedmioty, aniołowie i sędziowie mienia się przedziwną tęczą światła i promieni!

Boncie przymyka zmęczone powieki.

— Doprawdy? zapytuje, a w głosie jego brzmi niedowierzenie.

— Ależ, bez wątpienia! odpowiada Prezes Trybunału. Wszystko, co w niebie, należy do Ciebie. Mów, czego pragniesz, a wnet życzenie twe spełnionem będzie!

— Doprawdy? zapytuje Boncie po raz drugi, a w głosie jego przebija pewność siebie.

— Istotnie! Istotnie!—odpowiadają mu ze-
wsząd głosy zgodnym chórem.

— Więc, tak, rozjaśnia się uśmiechem twarz
Bonciego, pragnę właśnie dostawać codzień rano
świeżutką bułkę z masłem!

Szmer przeszedł przez salę. Sędziowie i anio-
łowie opuścili ze wstydu głowy, a w sali dłu-
go brzmiał echem stłumiony śmiech oskarży-
ciela...

.....

D Z I K U S.

D Z I K U S.

Po raz pierwszy w swem życiu oddycha swobodnie; po raz pierwszy wypuszczono ją na wolność... i w zapale radości tańczy i skacze po śniegu!

Nie pamięta, co się z nią działo latem. Pod wąskiem sklepieniem jej czoła brak miejsca na dobrą pamięć. Najsilniejsze wrażenia rozplywają się we mgle i gasną. Sama dobrze nie wie, ile ma lat. Przypatrując się jej nędznej postaci, trudno określić jej wiek. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że jest to osoba dorosła, a nawet otyła — w rzeczywistości zaś tylko brzuch jej jest rozdęty. Piersi ma zapadłe, głowę małą, a skórę twarzy dziwnie pomarszczoną. Jednak cała jej postać drobna i skurczona czyni wrażenie zaledwie 9-10 letniej dziewczynki. Wyraz jej twarzy często się zmienia: przez chwilę oblicze rozjaśnia dziecinny, pogodny uśmiech, to znów twarz kurczy się i szarzeje, przybierając wyraz złośliwości i uporu. Nieraz usta dziewczynki wykrzywiają się dziwnym grymasem, a oczy spoglądają dziko z pod ściągniętych, słabo zarysowanych brwi. Myśli jej, wiecznie splątane, nie wiążą się z sobą...

Nie taką jednakże się urodziła... Gdy przysłała na świat mówiono: „Jakie piękne dziecko!“ Z począt-

ku rozwijało się ono normalnie. Pierwszą znajomość zawarło z piersią matczyną, później z matką, ojcem i różnymi przedmiotami w mieszkaniu. Czarne oczęta dziewczynki z dniem każdym stawały się jaśniejsze i wymowniejsze. Lecz stan ten długo nie trwał. Po krótkim czasie rozwój jej poczyna iść wstecz... Coraz to rzadziej pojawia się w oczach przebłysk rozumu... Pamięć wciąż słabnie. Pięć lat minęło od wyjazdu ojca. Pamięta ona jednak dokładnie, jak trzymając ją na kolanach pieścił i całował, a matka wyrwała mu ją z ramion, w obawie, ażeby jej nie zacałował na śmierć. Niekiedy przed oczyma jej zjawiają się obrazy minionych dni. Siedziała na kolanach matki a ojciec ukrywał się za jej plecami i co chwila ukazywał się z innej strony, wołając: kuku! kuku! Mieszkanie, twarze promieniowały niezwykłą radością i ciepłem...

Potem wszystko zapadło się w otchłań. Ponura, smutna cisza kładła się po kątach mieszkania. Zewsząd wyczierała straszliwa pustka. Ojciec często gniewał się i krzyczał, a matka skrycie płakała. Niekiedy hałas był tak wielki, iż mała ze strachu kryła się po kątach. Po pewnym czasie zaczęto ją bić, dawano coraz mniej jeść...

Jak przez sen pamięta ojca ponurego, z oczyma w dół spuszczone, matkę z twarzą ukrytą w rękach, drgającą od szlochań... Ojciec szepce cicho: „Przyślę wam pieniądze!“, odwrócił się i wyszedł... Po chwili znów się zjawił. Ledwo go poznała. Był trupio-blady i cały jakiś zgarbiony... Spo-

glądał długim, przeciągłym wzrokiem na żonę i dziecko i wyszedł, by nie powrócić już nigdy...

Odtąd nic już nie pamięta. Czas gubi się w ciemnej pomroce, wlecze się po zimnym ponurem pustkowiu, gdzie niema ni drzew, ni kwiatów... Głód i zimno — to codzienni jej towarzysze. Rzadko kiedy ujrzy gorący kartofel lub ogrzeje zdrętwiałe swe członki...

Teraz uśmiech rozjaśnia jej oblicze... Po raz pierwszy czuje się wolną.

Całą zimę więziono ją w mieszkaniu. Gdy rano budziła się ze snu, pokój był pusty, okiennice zamknięte, drzwi zaryglowane. Przed łóżkiem leżało dla niej jedzenie: kęs chleba, niekiedy obwarzanek lub zimny pieczony kartofel. Zazwyczaj było ono zimne jak lód, zmuszona więc była ogrzać je w łóżku, a potem jeść... W ten sposób, lżąc przykryta kołdrą, spędzała cały dzień. Dopiero wieczorem matka wracała z miasta, rozpalając ogień, gotowała lub piekła trochę świeżych kartofli. Często wracała późno wieczorem. Oczekując jej przybycia, mała tarzała się nieraz po ziemi, krzycząc z głodu w niebogłosey, wyskakiwała z łóżka, biegła boso po pokoju, wrywając sobie włosy. Wówczas przynosiła jej matka słodycze. Najlepiej czuła się w nocy, gdy matka kładła się obok niej w łóżku. W pierwszej chwili było jej bardzo zimno, ale powoli ogarniało ją ciepło. Przyciskała się do leżącego obok niej ciepłego ciała coraz mocniej, coraz silniej. Z czasem przywykła sypiać w dzień, a w nocy leżała

z szeroko otwartemi oczyma. Przed snem niekiedy wybuchała matka spazmatycznym płaczem, ale prędko się uspakajała i leżała cicha, nieruchoma. Mała skulona zwykła lizać swe palce, spoglądając w okno... Na szybach rysują się dziwaczne wzory drzew. Poprzez gałęzie przedostaje się niekiedy do pokoju jasny promień księżyca, a jej się zdaje wówczas, iż ojciec stoi pod oknem i uśmiecha się do niej.

Niekiedy gniew ją ogarnie na matkę, która dzień cały biega po mieście, a ją więzi w ponurym pokoju. Nie chce wtedy niczego wziąć do ust, nie wpuszcza matki do łóżka, a pragnie tylko drapać i gryźć... Silny głód jednak i łay matczyne zwyciężają... Przyjmuje jedzenie z rąk matki i co chwila przerywa jej gniewnie: „Gdzie się wałęsasz przez cały dzień?” Jąka się nieco i mowa z trudem jej przychodzi. Napróżno matka usiłuje jej wytłumaczyć, że biega po mieście nie dla przyjemności, ale dla zarobku, aby miały z czego żyć. Mała nie rozumie, co znaczy „zarobek”. Uwaga dziewczynki nie skupia się jednak długo na jednym przedmiocie i wkrótce zapomina o wszystkim.

W nocy czasem budzi matkę: „co zarobić?” Długo trwa, zanim matka pojmuje, o co jej chodzi. Ze łzami w oczach prosi:

— Córenko, pozwól mi spać. Broń Boże, odmówić jej, jest niesłychanie uparta i prędko dostaje spazmów. Matka zmuszona jest opowiedzieć, iż chodzi z domu do domu, szukając pracy: tu wyrzucić śmiecie, tam pomoże przy kuchni, załatwi sprawu-

nek w mieście... Mała przerywa nagle pytaniem: —Co smaczniejsze, pierogi czy miód? Matka zaczyna gwałtownie szlochać: „Skąd przyszły jej na myśl pierogi?“ Widocznie jadła kiedyś te potrawy, a teraz niewiedomo skąd odżyły w jej pamięci. Matka rzuca się na łóżko, kryje twarz w pościeli, jak ongiś, kiedy ojciec wyjechał...

Po chwili mała zapomina o wszystkim. Matka uspakaja ją, obejmuje gwałtownie i namiętnie całuje.

Nazajutrz, gdy wychodziła na miasto, mała obudziła się nagle i przez sen szepnęła. Mamo—pierogi—miód przynieś. Matka z płaczem wybiegła z pokoju.

Pewnego dnia, gdy jeszcze spała, obudził ją straszliwy zgiełk. Obcy ludzie wprowadzili matkę, bladą jak płótno, rozebrali i położyli do łóżka. Ogarnął ją lęk — ale po chwili dziwnie słodko się jej zrobiło. Ciało matki płonęło jak w ogniu! Nigdy nie było jej tak ciepło i zarazem tak dobrze!

Gdy kładli matkę do łóżka obcy ludzie usiłovali jej coś wyjąć ze ściśniętej dłoni. Ale mała nie pozwoliła... pewno pierog! Wsuwa się pod kołdrę, dotyka ręki matczynej i lekko ją otwiera. Trzyma w ręku coś białego, cienkiego i twardego. Przybliża do ust—niesmaczne i gorzkie... wyjmuje je z powrotem, ogląda i nagle spostrzega mały potrecik i białe listy...

Co to — mamo? z trwogą budzi chorą, lecz ta nie odpowiada.

Do pokoju wchodzi dwie kobiety, jedna po-

daje jej pierniczek i wyjmuje z ręki portrecik z liścikiem. Ale żadna z nich nie umie czytać.

Tymczasem wchodzi nieznajomy mężczyzna, odslania chorą, bada puls i serce...

Mała zaczyna krzyczeć w niebogłosey. Boi się, ażeby jej nie odebrano matki i zimno przenika jej istotę. Kobiety wtykają jej coś do ust i dziewczynka milknie.

Panie — zwraca się jedna z bab do mężczyzny, niech pan przeczyta list.

Obcy czyta i kiwa głową.

—Mąż—powiada—pisze, iż zaniemógł z powodu ciężkiej pracy. Jest krawcem, pracuje przeszło 18 godzin dziennie... Prosi, aby przysłała mu pieniądze na powrót..

— Jeszcze! Jeszcze! Słodkie! przerywa mu mała, wyciągając rączkę.

Kobiety nie zważają na nią.

— Człowiek zeszedł na psy! —powiada jedna.

W łóżku było gorąco. Kobiety napaliły jeszcze w piecu.

Mała nie pamięta tak rozkosznie spędzonej nocy, matka była cała w płomieniach... Przy łóżku siedziała obca niewiasta i drzemała. Co chwila budziła się, podając coś chorej. Mała wyciąga również swe rączki. Chce krzyczeć, ale obca podaje jej coś słodkiego, siada z powrotem na swe miejsce i dalej drzemie. Piec jest otwarty i cały rozżarzony... Mała z zachwyty klaszcze w rączki... Długie, czerwone języki ognia oświetlają pokój, drgają, tańcząc

w takt – cyk! cyk! Czarne jak węgiel, wnet czerwienią się krwawą purpurą...

W ponurą noc jesienną, owinięto małą w ciepły płaszcz i powieszono gdzieś daleko. Następnie wniesiono ją wysoko po schodach i wprowadzono do obcego, chłodnego pokoju. W pośrodku siedziała trzęsąca się ze starości kobieta i skubała pierze. W kącie na siennikach, rozłożonych na podłodze spały dzieci...

Stara nie ruszyła się nawet z miejsca. Piskliwym, urywanym głosem zapytała:

— Kto płaci?

— Zapłacą — odpowiedziały kobiety, które ją przyniosły.

— Mamo, wpadła mała w płacz, ze strachu i zimna.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

— Sierota? pyta dalej stara, cała w puchu i pie-rzach.

— Jeszcze nie...

— Mamo!

— Nie drzyj się, mała, odpowiada jej jedna ko-bieta. Mama wyjechała.

Mała drgnęła i podskoczyła z radości, a błysk rozumu zjawił w jej oczach.

Do... do... taty? ale nikt jej nie odpowiada.

— Gdzie będzie spała?

— Ze mną, powiada stara.

Kobiety zdejmują z dziewczynki płaszcz i kła-dą ją do zimnego łóżka; mała zaczyna drzeć z chłodu.

—Mamo! szłocha, a usta jej drgają spazmatycznie.

—Uspokójcie dziecko, zwracają się obce kobiety do starej.

—Idźcie sobie, idźcie! mówi stara. Już ja dam sobie z nią radę.

Kobiety odchodzą, a stara podnosi się z miejsca i zbliża do dziecka.

—Milcz!—powiada twardym, skrzypiącym głosem. Serce zamarło w małej. Przełękła się i ucichła.

Zrana otrzymuje wraz z pozostałym czworgiem dzieci po kawałku chleba z herbatą—herbaty dawno już nie piła. Na obiad dostaje trochę kartofli lub kaszy, wieczorem znów chleb z herbatą.. Jest wprawdzie syta, ale czuje się źle, brak jej czegoś. Nienawidzi pozostałych dzieci i boi się starej. Skulona siedzi w kąci i tęskni...

— Mamo!

Lecz stara wiedźma spojrzy na nią i mała milknie tłumiąc gniew, nienawidzi jej bowiem z całej duszy. Pewnej nocy (wciąż jeszcze nie miała swego siennika) ogarnęła ją chęć przyczaić się, wgryźć zębami w ciało starej, drapać i szarpać nienawistną wiedźmę... lecz stara sypia z nawpół otwartymi oczyma i mała ucieka, zdjeta strachem.

— Czy uśniesz nareszcie? powiada stara świszczącym głosem i uderza ją kościstą pięścią w plecy.

Z czasem myśl o matce zatarła się w jej pamięci. Niekiedy tylko pocznie się rzucać i nieustannie krzyczy;

— Precz! precz!

Wreszcie zdobyła sobie mała własny siennik i od tej pory nie obawia się już starej: ucieka przed nią, a w biegu przewraca wszystko, rozbija garnki, rozsypuje pierze i bije Nielitościwie przerażone dzieci... Stara chwyta miotłę, ale goniąc za „dzikussem“ traci oddech i ciężko sapie. Mści się za to później w sposób okrutny. Cały dzień udaje spokojną. W nocy, gdy „dzikus“ zasypia na nędznym barłogu, jędrza rzuca się na nią z wściekłością i wpija się w jej ciało ostremi pazurami. Mała nie płacze, lecz zacina się w uporze i przygryza do krwi wargi. Pozostałe dzieci, zdjęte strachem, chowają się po kątach, ledwo oddychając z przerażenia..

Dziś jednak wszystkiemu nastał koniec. Do starej przyszła jedna kobieta i oświadczyła, że od-tąd nie będą więcej płacili za utrzymanie „dzikiej“ — „niema funduszków“.

W oczach starej zapłonęły złe ogniki. Wyprostowuje się nagle, chwyta „dzikusza“ za włosy i zrzuca ze schodów.

„Dzikus“ stacza się na dół i na czworakach (chodzić po schodach jeszcze nie potrafi), przełazi przez próg na ulicę.

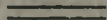
Hu! ha! Przed nią w całej swej krasie rozpościera się ulica! Taka piękna, olśniewająco - biała! Gdzie okiem spojrzeć, rozściela się biały, błyszczący śnieg!

—Hu! ha!

I boso biega i skacze po śniegu, a śmiech jej rozlega się gromkiem echem...

Wkrótce ukaze się w druku trzeci numer
wydawnictwa, zawierający między innymi
przekład noweli **Szolem-Alejchema**

„PORADA”



Przygotowują się do druku tłumaczenia
utworów **Szolem - Alejchema,**
Opatoszu, Fryszmana, Weisen-
berga, Berdyczewskiego, Nom-
berga, Bergelsona, Segałowi-
cza i innych.

F

22.401